

Oparta na prawdziwej historii „kobiet pocieszycielek”

CZERWONE ORCHIDEE Z SZANGHAJU



Juliette
Morillot



Juliette
Morillot

CZERWONE
ORCHIDEE
Z SZANGHAJU

PRZEŁOŻYŁ PAWEŁ ŁAPIŃSKI



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Les orchidées rouges de Shangai

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska

Wydawczynie: Monika Rossiter, Ewelina Czajkowska

Redakcja: Anna Poinc-Chrabąszcz

Korekta: Anna Jasińska

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcia na okładce: © Image Republic; © suwi19; © Sanga / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © Presses de la Cité, 2001, et 2021 pour la présente édition.

Published by arrangement with Lester Literary Agency & Associates

Copyright © 2026 for the Polish edition by Wydawnictwo KobiECE

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Paweł Łapiński, 2026

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2026

ISBN 978-83-8371-924-5

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl



DZIADEK

Nazywam się Kim Sangmi. Jestem Koreanką. Córką mrocznego i pełnego zamętu okresu w historii mojego kraju. Urodziłam się w roku Gyehae* pod znakiem świni, w dość zamożnej rodzinie, w której nigdy nie brakowało ryżu ani pieniędzy. Moimi przodkami od strony matki byli biedni intelektualiści z prowincji Gyeongsang. Uczeni starej daty, rozmiłowani w książkach, literaturze oraz niekończących się dyskusjach filozoficznych.

Rodzina ojca pochodzi z dawnych ziem królewskich w regionie Buyeo. Może się poszczycić szlachetnym drzewem genealogicznym – małżeństwa zawsze aranżowano w przemyślany sposób, by zyskać majątek i reputację. Klan, niegdyś wpływowy i bogaty, dziś jest zrujnowany, żyje z nielicznych skrawków ziemi, których nie stracił w wyniku hazardu, naszej rodzinnej bolączki.

Przyszłam więc na świat w wyniku unii dwóch klanów: rodziny Yu i rodziny Kim, małżeństwa zawartego pod znakiem zawirowań, łączącego wodę i ogień, prawość i skapstwo, szczerłość

* Chodzi o rok 1923.

i kłamstwo. Nieprawdopodobnego małżeństwa córki patriotów i syna kolaborantów.

Od najwcześniejszego dzieciństwa w moim domu panowało dramatyczne napięcie o nieznanym mi źródle. Było ono niczym szare niebiosy, które mogły w każdej chwili, niczym przy tropikalnych ulewach, zasnuć się chmurami i eksplodować. To stan poddaństwa, w jakim tkwił mój kraj – myślałam wówczas – odpowiada za ten ciągły niepokój, zagrożenie wiszące nieustannie nad naszymi głowami. Korea przestała bowiem istnieć 22 sierpnia 1910 roku i stała się, na oczach zubożniętego Zachodu, prowincją Cesarstwa Japońskiego.

Kto w Paryżu, Londynie czy Nowym Jorku przejmowałby się tragedią, którą przeżywał ten mały azjatycki kraj na obrzeżach Chin i Japonii? Lud Korei, wykrwawiony po dekadach walk, został pozbawiony możliwości decydowania o swoim losie i przez kolejnych trzydzieści pięć lat, aż do końca drugiej wojny światowej w 1945 roku, musiał znosić okrutne panowanie Japonii i jej cesarza Hirohito, demonicznego półboga, który nie wahał się przed stosowaniem największych upokorzeń i tortur, żeby osiągnąć swój cel i stworzyć ogromne imperium na miarę swojej utopii.

Jedyne, co pamiętam z dzieciństwa, to niepewność i pytania, których się nie zadawało. Jako mała dziewczynka szukałam w oczach matki jakiegoś błysku, który by mnie rozbawił albo pocieszył w mojej potrzebie miłości. Tak długo patrzyłam w jej malutkie źrenice, do połowy skryte napiętym łukiem powiek, że zaczęłam sobie wyobrażać, że wpatruję się w ogromną i głęboką studnię. Gubiłam się w niej, otwierając szeroko oczy w ciemności. Lecz matka nigdy nie wyciągała do mnie ręki, a blask zawsze uciekał coraz dalej, w kierunku ciemności, niczym światełko lampki na czole górnika.

Czasem domyślałam się po jej uśmiechu, że mogłaby mnie kochać. Zresztą był pewien okres, krótki niczym przejaśnienie, kiedy jej gesty wypełniała miłość – było to przebranie, które pasowało do krzywizny jej warg i które wkładała z łagodną obojętnością.

„Aga! Zając biegnie po górach, hop, hop!” Jej palce galopowały po moim biodrze, podskakując, a ja się śmiałam. Matka potrafiła śpiewać mi wyliczniki, dmuchać na bolące miejsca, kiedy się uderzyłam, głaskać mnie po karku przed snem, a także, w epoce pełnej ograniczeń, szykować dla mnie ciasteczka z miodem i ziarnami sezamu, które rozpływają się tuż po włożeniu do ust, wydzielając słodki posmak. Ale nie potrafiła mnie kochać. Nie kochała mnie. I żaden kamuflaż, choćby najczulszy, nie był w stanie mnie zwieść.

Ta intuicja z wczesnego dzieciństwa potwierdziła się w wieku, w którym powstają pierwsze wspomnienia. Zamiast twarzy matki występuje w nich twarz babki, mojej *halmeoni*. Babka chodziła od rana do wieczora owinięta w *cheone* z pikowanego jedwabiu. Pomarszczony kark starej kobiety, przegrodzony srebrnym łańcuszkiem, stanowił dla mnie jedyny horyzont. Tkwiłam na jej biodrach, podtrzymywana materiałem, i to społad jej ramion przyglądałam się światu, który kręcił się wokół mnie niczym karuzela. Z tą różnicą, że miałam wrażenie, iż to inni się ruszają, a nie ja.

Wkrótce zyskałam na tych ukochanych plecach takie poczucie niezniszczalności, że moją matkę zaczęło to irytować. Z dnia na dzień zabroniła mojej biednej *halmeoni* nosić mnie w ten sposób.

Nawiasem mówiąc, ja sama nadal nie mówiłam. Słowa jakoś nie przychodziły. Słyszałam je i rozumiałam, ale od świata odgradzał mnie niewidzialny mur. Cisza ma tę zaletę, że nie

dostarcza żadnego punktu podparcia złości innych. Zdolność milczenia i wygaszania zdań, zanim się ze mnie wydobędą, to najcenniejsza cecha, jaką przekazała mi matka.

Tak więc aż do wieku czterech lat nie wypowiedziałam ani słowa, czekając na próżno, aż matczyne oczy wreszcie się otworzą i wyjawią mi swój sekret.

Matka nie darzyła mnie pogardą ani nienawiścią. Co gorsza, zwracała się do mnie miło, nie okazując najmniejszego uczucia, dawkując przygany i pochwały z tak idealnym chłodem, że zdawała się całkiem wyzbyta emocji. Jej wewnętrzny chłód zderzał się z wewnętrznym ogniem: zaskakiwała gwałtownymi decyzjami, a potem traciła do nich przekonanie i zamykała usta oraz oczy niczym forteca, w której podniesiono mosty zwodzone. Szybkość jej ruchów zapowiadała żywy i pełen energii charakter, jednak znużone spojrzenie i zawsze pochylony kark sugerował kompletny brak chęci życia. Wspaniały ptak uwięziony w niewidzialnej klatce, który mógłby w każdej chwili odlecieć, odzyskać radość życia, ale po konfrontacji z kratami spadał martwy na ziemię.

Moja babcia przeciwnie – była kobietą łagodną i czułą, a jedyną cechą łączącą ją z moją matką była wyjątkowa zręczność. Wieczorami *halmeoni* tkła biżuterię z jedwabnych tasiemek. Była jeszcze młodą dziewczyną, kiedy jej talent został dostrzeżony przez zarządcę królewskiego pałacu, gdzie babka uczyła się potem dalej tej sztuki za murami kobiecej dzielnicy. Jej sposób mówienia uległ zmianie, nabrał szlachetnego tonu. Jej zdania kończyły się niczym świergot wróbla złapanego w pułapkę. Babka potrafiła farbować, tkać nici, łączyć je ze sobą, skręcać i formować w płataninę wielokolorowych tasiemek, które dopiero w ostatniej chwili, po długich dniach pracy, przeistaczały

się – po pociągnięciu za jedną z nich – w motyla, żółwia lub kwiat...

Kiedy przyszłam na świat, *halmeoni* zamieszkała z moimi rodzicami, zostawiając dziadka samego w Heonni-dong, w ich starym rodzinnym domu krytym dachówkami. To był zaskakujący ruch. W naszym kraju częściej spotyka się młode pary, które przeprowadzają się do domu przodków, rzadko bywa odwrotnie. Na całe dzieciństwo powierzono mnie zatem *halmeoni* – w tamtych czasach nie rozstawałam się z nią ani na chwilę.

Kiedy w latach 1925 i 1926 urodzili się moi dwaj bracia, matka zatrudniła dziewczynę ze wsi, żeby się nimi zajmowała. Pomimo niewielkiej różnicy wieku nie bawiliśmy się razem. Oni mieszkali przy mojej matce w głównym budynku, gdzie przypadły im dwa pomieszczenia z ogrzewaną podłogą. Ja i *halmeoni* zajmowałyśmy dawną przybudówkę w głębi podwórka. To był uroczy mały pawilon z podłogą z woskowanego drewna. W lecie było tam cudownie chłodno, jednak zimą pawilonik zamieniał się w istną lodownię. Wtulałam się w *halmeoni*, chowając zimne stopy między jej nogi, i czekałam z przyjemnością, aż jej łagodny głos zacznie mnie napominać...

Kyoko urodziła się późno, w 1930 roku. Jej przyjście na świat świętowano bardziej, niż nakazywał obyczaj. Moja dziecięca pamięć wiąże z młodszą siostrą, która pojawiła się nieoczekiwanie pewnego śnieżnego poranka, pierwsze wspomnienia japońskiej okupacji. Cóż mogłam rozumieć w wieku siedmiu lat z realnego sensu „kolonizacji”? To było słowo, które rozpałało dorosłych i wywoływało groźne burze. A jednak w moim życiu codziennym przekładało się wyłącznie na żmudną naukę japońskiego pisma.

Na okoliczność drugich urodzin Kyoko, dwadzieścia jeden miesięcy po jej poczęciu*, Satsuda-san, japoński fotograf i przyjaciel mojego ojca, przyszedł do naszego domu z kimonem w czerwone kwiaty owiniętym w kolorowy papier ryżowy. Ten dziecięcy strój wywołał w całym domu okrzyki zachwytu. Kimono, podszyte na całej długości niebieskim jedwabiem w małe geometryczne wzory, pochodziło od jednego z najlepszych krawców z dzielnicy Ginza w Tokio.

Wszyscy pozowaliśmy do dwóch zdjęć: na pierwszym mój ojciec, z czerwoną twarzą, wypinał pierś, ubrany w prążkowany garnitur w zachodnim stylu. Moja matka, w koreańskiej sukni, trzymała dziecko na rękach. Moi dwaj bracia i ja, stojący z dwóch stron obok rodziców, opieraliśmy się o sztuczne kolumny z gipsu dostarczone przez studio fotograficzne. Na drugim zdjęciu Satsuda-san, po naleganiach mojego ojca, dołączył do nas. Mężczyzna ułożył Kyoko ubraną w podarowane jej kimono w miniaturowym samochodzie – zabawce swoich dzieci, którą wypożyczył na okazję wizyty u nas. To była zabawka bogatych, ja sama nigdy czegoś takiego nie widziałam. Kyoko promieniała, a my biliśmy brawo z niewinnością właściwą naszemu wiekowi.

Dwadzieścia dni później goniec dostarczył do naszego domu grubą kopertę z brązowego papieru. Obydwa zdjęcia były wywołane w dwóch odbitkach na ziarnistym papierze wysokiej jakości i obramowane w zachodnim stylu w poskręcane złoto-czarne

* Wiek w Korei liczy się tradycyjnie w latach księżycowych, to znaczy od poczęcia, przy czym przy okazji pierwszego nowego roku dodaje się jeden dodatkowy rok. Ten system, zależnie od daty narodzin, zasadniczo postarza o dwa lata w porównaniu z wiekiem zachodnim. Na przykład dziecko urodzone 31 grudnia 1991 ma w momencie urodzenia rok. Dwa miesiące później, 4 lutego 1992 roku, w nowy rok księżycowy, obchodzi swoje drugie urodziny. Kyoko, urodzona na początku 1930, ma w momencie narodzin rok, a dwa lata w nowy rok księżycowy w 1931.

pałeczki. Osobisty prezent od Satsuda-san. Podniecenie sięgnęło zenitu. Postanowiono, że jedna z dwóch ramek zostanie podarowana mojemu dziadkowi z okazji nowego roku księżycowego. Odliczałam dni do zaplanowanych odwiedzin.

Popołudnia w Heonni-dong miały posmak czegoś zakazanego. W każdym słowie i geście dziadka pobrzmiwał bunt. Mówił, że mieszkamy w Seulu, a nie w Keijō. Dziadek, zagorzały patriota, opowiadał nam o założeniu pierwszego królestwa Korei przez Tanguna, o niemożliwym wyborze niedźwiedzia i tygryscy, a do jedzenia używał wyłącznie srebrnych pałeczek. Ale przede wszystkim zwracał się do nas naszymi koreańskimi imionami.

Mieliśmy bowiem dwa imiona. Nasze rdzenne imiona koreańskie oraz japońską wersję zapisaną chińskim pismem**. To była największa przyjemność mojego dzieciństwa – pomimo irytacji ojca na kilka godzin stawaliśmy się na powrót Sangmi, Jongsik, Yongsik i Gyeongja. Japońscy okupanci zalecali też Koreańczykom zmianę nazwisk, które uważali za zbyt trudne do rozróżnienia. Kilka rodzin faktycznie zamieniło ostatecznie rodowe nazwisko swojego klanu, Park albo Li, na Matsushita albo Fujimoto. Każdy nagiął się do praw lub je omijał w zależności od poziomu swojego strachu lub od przekonań.

Mój ojciec postanowił zachować swoje koreańskie imię, Kim Ho-II, ale koledzy z uniwersytetu nazywali go po japońsku: Kawamoto-san. W odniesieniu do nas, dzieci, postanowiono raz

* Nawiązanie do mitu o założeniu Korei przez Tanguna zrodzonego ze związku niedźwiedzia i tygryscy.

** Większość imion w Korei, tak samo jak w Japonii, zapisuje się chińskimi pismem. Ideogramy odróżnia od siebie wyłącznie wymowa „po japońsku” albo „po koreańsku”.

a dobrze używać wyłącznie japońskich imion: Naomi, Masaki, Hideki i Kyoko.

– Dzięki temu dzieci niczego nie ryzykują – powtarzała moja matka. – Zresztą, żeby nie robić maluchom zamętu w głowie, lepiej używać tych samych imion, co w szkole.

Moja matka nigdy nie sprzeciwiała się ojcu. Nie potrafiła podnosić głosu, więc przytakiwała z opadniętymi ramionami i rękami złącznymi na podołku. Ja jednak wyczytywałam w jej oczach, że nie lubi tych imion o gwałtownej dźwięczności – imion, które nie należały do jej krwi. Z typowo kobiecym sprytem znajdowała różne kompromisy, mówiła do nas „starsza córko”, „mój kochany synku”.

– *Yeobo*, od dziś będziemy mówić w domu po japońsku – zarządził pewnego dnia mój ojciec. – Zachowaj koreański do swoich pogaduszek z Kyoko, skoro nie możesz się powstrzymać. Dopilnuj też, żeby Naomi nie nabrała złych nawyków od swojego dziadka.

Matka zmrużyła oczy. Nikt nie pytał jej o zdanie. Ojciec kontynuował.

– Czym byśmy byli bez Japończyków? Krajem pogrążonym w przeszłości? Czy nie mamy wspaniałej sieci kolejowej? Stolicy godnej europejskich miast, z tramwajami, autobusami? Jak w Londynie albo Paryżu?

Zimny gniew schwycił go za gardło. Ojciec trzasnął drzwiami. Schowana pod deskami *maru*, słyszałam łomot jego kroków nad głową, po czym dobiegł mnie nagły, melancholijny szloch mojej matki.

Przybyliśmy do dziadka wczesnym wieczorem, w nowych ubraniach na specjalną okazję. *Halmeoni* udała się tam już wcześniej i przygotowała ciasteczka z mąki ryżowej gotowane na parze,

które przyozdobiła orzeszkami piniowymi i liśćmi piołunu ułożonymi w kwiatowe wzory, tak jak lubiliśmy. Podała te słodkości na tacy z drewna miłorzębu. Dyskretna niczym cień, przykryła je tiulem, żeby nie zwabiły owadów, po czym postawiła przy wejściu do gabinetu dziadka, a sama wróciła do kuchni.

Tak jak każe tradycja, ukłoniliśmy się trzy razy przed dziadkiem, dotykając czołem ziemi. Potem przyszła pora na matkę i ojca, którzy pokłonili się na żółtym *ondol*. U kobiet taki głęboki pokłon wymaga wielkiej elastyczności. Głowa musi dotknąć ziemi, tymczasem stopy są mocno dociśnięte do podłoża, a kolana powinny okalać twarz. Moja matka widziana w tej pozycji od tyłu wyglądała niczym wielki, dopiero co rozkwitły kwiat, bukiet rozwiniętych jaskraworóżowych szat. Matka wymówiła zwyczajową formułę.

– Czcigodny ojcze i dziadku moich dzieci, przyjmij ten skromny prezent.

Nie unosząc głowy, podała swojemu ojcu fotografię, która była tak ciężka, że nadgarstki matki drżały. Dziadek się uśmiechnął. Złocene fragmenty ramki lśniły w promieniu słońca.

Dziadek utkwiał nagle zwilgotniałe oczy w naszej grupce utrwalonej na wieki w bezruchu na tle scenografii ze studia fotograficznego. Spokojnie – albowiem sędziwy wiek pozwalał mu jedynie na ruchy o skrajnej powolności – chwycił za pokrywkę swojego kamienia atramentowego ozdobioną rzeźbionymi smokami. Zdawało mi się, że jego ręka zastygła nieruchomo jak szpony sępa krążącego po niebie, wisiała w powietrzu przez wieczność. Jego kościste palce z nabrzmiałymi sinymi żyłami zamknęły się na zimnym matowym kamieniu.

Matka nawet nie drgnęła. Kamień opadł na szkło. Kyoko, w czerwonym kimonie w wózk, rozpadła się na kawałki. Ocalała tylko jej uśmiechnięta dziecięca twarz. Rozbicie ramki natychmiast

wywołało u mojej młodszej siostry napad piskliwego krzyku pomieszanego z zalęknionym płaczem. Babka pojawiła się przestraszona na progu gabinetu, przekonana, że któreś z dzieci zrobiło sobie krzywdę. Lecz jej powieki, które powoli zniżyły się w kierunku rozsypanych po podłodze odłamków, z powrotem zaciągnęły zasłonę ciszy. Mój ojciec wstał i bez pożegnania dał znak do wyjścia. W drodze powrotnej nikt się nie odzywał.

Ręka mojego dziadka zawieszona w powietrzu i trzymająca wspinały kamień atramentowy jeszcze długo tkwiła mi przed oczami, chociaż nie pojmowałam sensu tego gestu. Nigdy nie podejrzewałam dziadka o to, że nie kocha Kyoko. Potem, pewnego ranka, po przebudzeniu, wreszcie zrozumiałam. Byłam jak mój dziadek. W naszych ciałach krążyła ta sama krew, łączyła nas ta sama dzika duma: należeliśmy do ludu koreańskiego i nie zgadzaliśmy się na obcą dominację. Od tego dnia już nigdy nie włożyłam japońskiego stroju, jeśli nie byłam do tego zmuszona.

Babka zmarła w pierwszy nowy księżyc roku. To był dzień *jeongwol daeboreum*.

Pomogłam jej ugotować kaszę, czerwoną fasolę, indyjskie proso, groszek i kleisty ryż, żeby przygotować tradycyjny *ogokbap*. Babka, pochylona na oparami, które unosiły się nad ogromnym żeliwnym kociołkiem, szukała oparcia, żeby odzyskać oddech, aż wreszcie usiadła na schodku przy drzwiach, z twarzą równie bladą i gładką, co księżyc w pełni, którą świętowaliśmy. Nóż, którym obierała kasztany wodne i orzechy miłorzębu, wypadł jej z rąk trzy razy, chociaż ona zdawała się tego nie zauważać, tylko nadal mechanicznie sięgała po owoce i wrzucała je, nieobrane, do parującego kociołka. W trakcie dnia widziałam, jak rysy jej twarzy robią się coraz bardziej wyżłobione, a oczy się zapadają.

Cały czas coś nuciła. Kiedy przez nieuwagę rozsypałam świeżo obrane orzeszki piniowe, znalazła w sobie siłę, żeby mnie upomnieć. Jej głos, nabrzmiaty złością, miał nietypowy, wilgotny i brudny tembr, na który aż się wzdrygnęłam.

Popatrzyłam chwilę z zachwytem na ogromny księżyc tkwiący na niebie nad wierzbami, po czym wsunęłam się pod kołdrę do babki, która – jak się okazało – zapomniała rozczesać swój kok. Utrzymująca go srebrna szpilka lśniła w ciemności. Bałam się, że babka zrobi sobie krzywdę, więc wyciągnęłam szpilkę delikatnie, po czym zasnęłam, przytulona do pleców babki, z nosem przytkniętym do jej karku.

Kiedy się obudziłam, księżyc już nie było, wchłonęła go ogromna czarna chmura. Wiatr gwizdał w dachówkach i było mi zimno. Babka się nie ruszała. Jej palce w mojej dłoni trzaskały niczym drobinki szronu. Skóra na jej policzkach napięła się pod moimi wargami z lekkim zgrzytem marszczonego papieru. Moja *halmeoni* nie żyła. Nie ruszałam się aż do świtu, wtulona w jej lodowate ciało, starając się zapisać na zawsze w pamięci moich zmysłów delikatny łuk jej nosa, cienką szyję i charakterystyczny zapach piwonii i kadzidła, który kołysał mnie co noc do snu. Kiedy moja matka weszła do *maru* wczesnym rankiem, zaniepokojona ciszą, która panowała w naszym domku, udałam, że dopiero co się obudziłam. Matczyne krzyki w kilka chwil zastąpiły złotą ciszę naszej sypialni, która została tym samym sprofanowana. Matka natychmiast przegnała mnie stamtąd z misją zawiadomienia całego domu o śmierci starej kobiety. Wkrótce nikt już nie mówił o mojej *halmeoni*, tylko o jej pogrzebie, ubraniach żałobnych, które wypada włożyć, posiłkach do przygotowania oraz o tym, ile to wszystko będzie kosztować.

Przez nasz dom przewinęła się cała rodzina. Ciotki. Kuzyni. Przyjaciele i nieznajomi. Cienie nasączone odrętwiałą rozpaczą.

Mój ojciec, markując smutek, pokłonił się nad ciałem babki szybkim ruchem, bez przekonania do roli zrozpaczonego zięcia.

Pawilonik w podwórzu przez dwa dni był wypełniony odgłosem płaczu. Trzeciego dnia rankiem mój dziadek zamknął drzwi na klucz i zażądał, żeby zostawiono go samego z ciałem. Nikt więcej nie wchodził tam aż do pogrzebu. Jednak pewnego wieczoru, usłyszawszy moje kroki na *maru*, dziadek rozchylił lekko jedno skrzydło drzwi. Wślizgnęłam się do pokoju wyłożonego białymi konopiami. Piękna twarz mojej babki, pośmiertnie stężała, lśniła w ciemności, otoczona mleczną poświatą pochodzącą z papierowej latarenki postawionej przy jej głowie. Dziadek płakał.

Rysy twarzy mojej *halmeoni* się wyostrzyły. Jej nos, pozbawiony powietrza, zrobił się ściśnięty, a jej usta, jakby poruszone niewidzialną ręką, ziały otwarte, wydzielając zapach śmierci, wilgotnej ziemi i deszczu. Jej skóra zrobiła się aksamitna niczym skrzydła motyla, ale pod tą zwodniczą łagodnością kryło się sztywne i zimne ciało jak z kamienia. Po kontakcie z moimi ustami powieki babki się zmarszczyły, mój pocałunek odcisnął na nich szary ślad. Dziadek przestał płakać. Mówił do mojej *halmeoni*, powtarzał cicho wszystkie słowa, których życie nie pozwoliło im sobie nawzajem powiedzieć, smutne i czułe słowa – czasem pełne gniewu, czasami po prostu błahe, od których drżał mu podbródek...

Faktem jest, że od momentu moich narodzin, dziadek prawie nie widywał swojej starej żony, która zamieszkała z nami. Ale ich miłość nie potrzebowała wspólnej codzienności, żeby nadal kwitnąć. Dziadek, pozbawiony swojej wiernej towarzyszki, zapadł się przez kilka tygodni o kilkanaście centymetrów niczym pozbawiony wody krzew i zamknął się w świecie wspomnień,

żyjąc w nagromadzeniu nieznanymi nam dat i miejsc, zadowalając się towarzystwem książek. Odmawiał przyjmowania gości, szczególnie odwiedzin swojej starszej córki. Przystał się już kryć z pogardą dla zięcia, mojego ojca – bez względu na jego pochodzenie ze znanej i poważanej rodziny, tytuł doktora i pożądane stanowisko profesora medycyny na uniwersytecie krajowym. Jak mógł wydać swoją starszą córkę za tę haniebną marionetkę bez honoru? Ojciec, odkąd sięgam pamięcią, był nieobecny w moim życiu zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie. Przeczuwałam w tym jakiś rodzinny dramat, rozdarcie schowane głęboko w przeszłości dwóch klanów. Nie mogąc znaleźć żadnej satysfakcjonującej odpowiedzi, poprzestawałam na logice czasów wojny i przypisywałam ten rozdźwięk przeciwnym poglądom politycznym.

Starego mężczyznę i jego zięcia dzielił cały świat. Mój ojciec prawie zawsze ubierał się po zachodniemu, w trzyczęściowy garnitur i czarne półbuty importowane z Anglii. Dziadek, jak wszyscy młodzi z jego pokolenia, także podążał kiedyś za zagraniczną modą. Ale dziś nosił wyłącznie nieskazitelnie białe ubrania typowe dla uczonych z dawnej dynastii Yi: szerokie spodnie z białej ramii i tunikę z rękawami w półksiężycy. Czyli dokładnie taki strój, jakiego zakazał japoński rząd. Miasto przemierzały specjalnie patrolowane w kubły farby, przeczesujące ulice w poszukiwaniu niesfornych obywateli. Ileż razy białe stroje mojego dziadka suszące się na podwórzu były rozrywane albo plamione czarną farbą! Dziadek nigdy nie dał się zastraszyć. Choćby miał je zszywać i prać przez całą noc, następnego dnia pojawiał się w jeszcze bardziej bijącej po oczach bieli, kolorze symbolizującym niepodległość kraju, w którą on sam nie zamierzał nigdy zwątpić.

Kiedy radziłam mu większą ostrożność, mawiał: „Kto miałby zatrzymać takiego starca jak ja za takie drobiazgi?”



*Sięgnij po
więcej!*



 www.wydawnictwokobiece.pl

 [kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)

 [wydawnictwo.kobiece](https://www.instagram.com/wydawnictwo.kobiece)